

Rozkosz

Choć Berta Young miała trzydzieści lat, nadal zdarzały się chwile takie jak ta, że chciałyby biec zamiast iść, tańczyć na ulicy, toczyć obręcz, podrzucić coś w górę i łapać, albo stać spokojnie i śmiać się z... z niczego, po prostu z niczego.

No bo co zrobić, kiedy ma się trzydzieści lat, skręca się we własną uliczkę, a tu nagle, niespodziewanie, człowieka nachodzi poczucie rozkoszy, absolutnej rozkoszy! – jakby się połknęło lśniący odprysk przedwieczornego słońca, który dalej płonie gdzieś w środku i tryska iskierkami ku każdej cząstce ciała, ku wszystkim palcom rąk i nóg...?

Och, czy nie ma sposobu, żeby to okazać bez narażenia się na zarzut „zakłócania porządku w stanie nietrzeźwości”? Te wszystkie konwenanse to idiotyzm! Po co człowiekowi ciało, skoro ma je trzymać szczelnie zamknięte w futerale, niby jakieś niezwykle cenne skrzypce?

„Nie, skrzypce to nie dokładnie to, o co mi chodzi” – rozmyślała Bertha, wbiegając po schodach, macając w torebce za kluczem – no tak, zapomniała, jak zwykle – i stukając w skrzynkę na listy. „Nie to, o co mi chodzi, bo...”

- Dziękuję, Mary – weszła do holu. – Niania wróciła?

- Tak, psze pani.

- A owoce przyszły?

- Tak, psze pani. Wszystko jest.

- Przynieś owoce do jadalnego, dobrze? Ułożę je, a potem pójdę na górę.

Pokój jadalny był mroczny i dość chłodny. Lecz Bertha i tak zrzuciła płaszcz – nie mogła w nim ani chwili dłużej wytrzymać, tak ciasno ją opinał, a jej ramiona od razu owiało chłodne powietrze.

Ale w piersi wciąż miała to jasno lśniąca miejsce – tę tryskającą fontannę iskier. To było niemal nie do wytrzymania. Aż się bała wziąć oddech, z obawy, żeby tego bardziej nie rozdmuchać, a jednak oddychała głęboko, głęboko. Aż się bała spojrzeć w zimne lustro, a jednak spojrzała: zobaczyła w nim kobietę, promienną, o uśmiechniętych rozedrganych ustach, wielkich ciemnych oczach, jakby czegoś nasłuchującą, czekającą na coś... boskiego, co się ma zdarzyć... co, wiedziała, musi się zdarzyć... niezawodnie.

Mary przyniosła na tacy owoce, a wraz z nimi szklaną misę i niebieski talerz, bardzo ładny, z takim dziwnym połyskiem, jak gdyby go zanurzono w mleku.

- Czy zapalić światło, psze pani?

- Nie, dziękuję. Widzę całkiem dobrze.

Były mandarynki i jabłka z plamkami truskawkowego różu. Parę żółtych gruszek, gładkich jak jedwab, białe winogrona pokryte srebrnym meshkiem i wielka kiść czerwonych. Te kupiła, by grały z nowym dywanem w jadalnym. Tak, to brzmi przesadnie i absurdalnie, ale naprawdę dlatego je kupiła. W sklepie pomyślała sobie: „Muszą być czerwone, żeby zaprosić ten dywan do stołu”. Wtedy wydawało jej się to całkowicie sensowne.

Kiedy skończyła z owocami, kiedy już stworzyła z tych jasnych okrągłych kształtów dwie piramidy, wstała od stołu, by ocenić efekt – naprawdę niezwykle ciekawy. Tak jakby ciemny stół rozpląnął się w mrocznym świetle, a szklana miska i niebieski talerz unosiły się w powietrzu. Oczywiście skoro jest w takim nastroju, wszystko musi być niewiarygodnie piękne... Roześmiała się.

„Nie, nie, chyba wpadam w histerię”. Chwyciła torebkę i płaszcz i pobiegła na górę, do pokoju dzieciennego.

Niania siedziała przy niskim stoliku i karmiła Małą B po kąpieli. Dziecko ubrane było w białą flanelową koszulkę i niebieski włóczkowy sweterek, a delikatne ciemne włosy miało zaczesane w zabawny czubek. Na widok matki podniosło główkę i zaczęło podskakiwać.

- No, kochaneczko, skończ jeść, jak grzeczna dziewczynka – odezwała się niania, z ustami ściągniętymi w znany Bercie sposób, który oznaczał, że znowu zjawiała się w pokoju dziecinnym w nieodpowiednim momencie.

- Czy była grzeczna, nianiu?

- Jak aniołek, przez całe popołudnie – szepnęła niania. – Poszłyśmy do parku, usiadłam na ławce i wyjęłam ją z wózka, i przyszedł taki wielki pies, położył mi głowę na kolanach, a ona chwyciła go za ucho i szarpała. O, szkoda, że jej pani nie widziała.

Bertha chciała zapytać, czy to przypadkiem nie jest niebezpieczne, że niania pozwala jej córeczce szarpać obcego psa za ucho. Ale się nie odważyła. Stała z opuszczonymi rękami i przyglądała się niczym biedna dziewczynka, która obserwuje bogatą dziewczynkę z lalką.

Dziecko znowu podniosło na nią oczy, popatrzyło przez chwilę i uśmiechnęło się tak uroczo, że Bertha nie mogła się powstrzymać i zawołała:

- Och, nianiu, proszę mi pozwolić, żebym dokończyła ją karmić, a niania przez ten czas poskłada rzeczy po kąpieli.

- Nie powinno się zmieniać w czasie karmienia, wie pani o tym – powiedziała niania, wciąż szeptem. – To ją niepokoi; a może ją nawet rozstroić.

Cóż za absurd. Po co mieć dziecko, skoro się je trzyma – nie w futerale, jak te niezwykle cenne skrzypce – ale w objęciach innej kobiety?

- Och, ale ja muszę! – powiedziała.

Niania bardzo obrażona oddała jej dziecko.

- Ale proszę jej nie rozfiglować po kolacji. Pani wie, że pani tak robi. A ja mam z nią potem bal!

Dzięki Bogu! Niania zabrała ręczniki i wyszła z pokoju.

- Teraz mam cię całą dla siebie, mój maleńki skarbie – powiedziała Bertha, kiedy mała przytuliła się do niej.

Jadła przepięknie, wyciągała buzię ku łyżce, a potem machała rączkami. Czasem nie chciała wypuścić łyżki; a czasem, kiedy tylko Bertha nabrała zupy na łyżkę, roztrącała ją na wszystkie strony.

Kiedy skończyły, Bertha odwróciła się w stronę kominka.

- Jesteś milutka, jesteś taka milutka – powtarzała, całując swoje ciepłe dziecko. – Przepadam za tobą. Tak cię lubię.

No bo naprawdę kochała Małą B tak bardzo – ten karczek, kiedy się pochylała do przodu, przecudne paluszki u nóg, które połyskiwały przejrzyście w blasku ognia – że powróciło do niej całe to poczucie rozkoszy i znowu nie wiedziała, jak je wyrazić, co z nim zrobić.

- Jest pani proszona do telefonu – powiedziała niania, wracając tryumfalnie i odbierając jej s w o j ą Małą B.

Zbiegła na dół. To Harry.

- Aa, to ty, Ber? Posłuchaj. Spóźnię się. Wezmę taksówkę i przyjadę najszybciej, jak się będzie dało, ale każ poczekać z obiadem o jakieś dziesięć minut, dobrze? Zgoda?

- Tak, doskonale. Och, Harry!

- Tak?

Co miała powiedzieć? Nie miała nic do powiedzenia. Chciała tylko przez chwilkę być z nim w kontakcie. Nie mogła przecież wykrzyknąć absurdalnie: „Cóż to za boski dzień!”.

- No, co jest? – rzucił głos z oddali.

- Nic. *Entendu* – odpowiedziała Bertha i odwiesiła słuchawkę, myśląc, jak strasznie idiotyczne są te wszystkie konwenanse.

Na kolację mieli zjawić się dziś goście. Norman Knight z żoną – kapitalna para – on właśnie będzie zakładać teatr, ona fascynuje się aranżacją wnętrz; młody człowiek nazwiskiem Eddie Warren, który dopiero co opublikował tomik wierszy i wszyscy go teraz zapraszają na kolacje; oraz „znalezisko” Berthy, Pearl Fulton. Czym zajmuje się panna Fulton, Bertha nie wiedziała. Spotkały się w klubie i Bertha z miejsca się w niej zakochała, tak jak zawsze zakochiwała się w pięknych kobietach, które mają w sobie coś niezwykłego.

Najbardziej drażniło ją, że choć bywały razem tu i tam, że choć już się parę razy spotkały i naprawdę ze sobą pogadały, Bertha nadal nie umiała jej rozgryźć. Do pewnego momentu panna Fulton była niesłychanie, cudownie szczerą, ale zawsze pojawiał się punkt, poza który nie wychodziła.

Czy poza nim było cokolwiek? Harry stwierdził:

- Nie.

Uznał ją za nudną i „zimną jak wszystkie blondynki, dotkniętą przypuszczalnie lekką anemią umysłu”. Ale Bertha się z nim nie zgadzała; w każdym razie jeszcze nie.

- Nie, to jak ona siedzi, z jedną ręką lekko na bok, i jak się uśmiecha; coś się za tym kryje, Harry, a ja muszę odkryć, co to takiego.

- Prawdopodobnie mocny żołądek – odpowiedział Harry.

Specjalnie podcinał Bercie skrzydła takimi uwagami... „chłodna wątroba, moja kochana”, albo „po prostu wzdęcie”, albo „chore nerki”... i tak dalej. Bercie jakoś dziwnie podobały się te uwagi i właściwie jeszcze bardziej za nie Harry’ego podziwiała.

Weszła do salonu i zapaliła w kominku; potem brała jedną po drugiej poduszki, które Mary ułożyła tak starannie, i rozrzucała je po fotelach i sofach. Od razu poczuła różnicę;

pokój natychmiast ożył. Kiedy miała rzucić ostatnią poduszkę, nagle – sama się tym zdumiała – nagle przytuliła ją do siebie namiętnie, namiętnie. Ale to nie ugasiło ognia w jej piersi. Och, przeciwnie!

Okna salonu wychodziły na balkon z widokiem na ogród. Na samym jego końcu, przy murze, wysoka, smukła grusza stała w najpełniejszym, najbogatszym kwieciu. Była absolutnie doskonała, jakby unieruchomiona na tle nefrytowo zielonego nieba. Nawet z tej odległości Bertha poczuła z całą pewnością, że na gruszy nie ma w tej chwili ani jednego pączka i ani jednego zwiędłego płatka. Poniżej, na grządkach, ciężkie kwiaty czerwonych i żółtych tulipanów wyglądały, jakby wspierały się o zmierzch. Szara kotka, ciągnąc brzuchem po ziemi, skradała się po trawniku, a za nią jak cień przesuwał się czarny kocur. Widok tych kotów, tak przejmujący i nagły, przyprawił Berthę o dziwny dreszcz.

- Ależ ohydne te koty – wyjąkała, odwróciła się od okna i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem...

Jak te żonkile mocno pachną w tym rozgrzanym pomieszczeniu. Za mocno? Ach, nie. A jednak, jakby czemuś uległa, rzuciła się na sofę i dłońmi przycisnęła powieki.

- Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa – szeptała.

I wydawało jej się, że pod powiekami widzi tę piękną gruszę o otwartych kwiatach, symbol jej własnego życia.

Naprawdę – naprawdę – miała wszystko. Była młoda. Z Harrym byli w sobie zawsze tak samo zakochani i świetnie się dogadywali, i byli naprawdę dobrymi kumplami. Miała cudowne dziecko. Nie musieli się martwić o pieniądze. Mieli ten w zupełności wystarczający dom, i ogród. I przyjaciół – nowoczesnych, fascynujących przyjaciół, pisarzy, malarzy i poetów albo ludzi zaangażowanych w kwestie społeczne – dokładnie takich, jakich mieć chcieli. No i były książki, była muzyka, a jeszcze ona znalazła fantastyczną krawcową, a latem wyjeżdżają za granicę, a nowa kucharka robi najwspanialsze omlety...

- Zachowuję się absurdalnie, absurdalnie!

Usiadła prosto, ale czuła, że kręci się jej w głowie, zupełnie jakby była pijana. To na pewno ta wiosna.

Tak, to ta wiosna. Bertha była teraz tak zmęczona, że z trudem doszła na górę, aby się przebrać.

Biała sukienka, sznur jodełkowych koralików, zielone buty i pończochy. Nie celowo. Co na siebie włożyła, zaplanowała na wiele godzin, zanim stanęła w oknie salonu.

Z cichym szelestem płatków weszła do holu, by pocałować na powitanie panią Normanową Knight, która zdjęła właśnie przezabawny pomarańczowy płaszcz, oblamowany na dole i z przodu korowodem czarnych małpek.

- ...Dlaczego! Dlaczego! Dlaczego klasy średnie są tak niestrawne, tak absolutnie pozbawione poczucia humoru! Kochanie, dotarłam tu dzisiaj wyłącznie fuksem, którym to opiekuńczym fuksem jest Norman. Bo moje ukochane małpki tak zdenerwowały pociąg, że zamienił się w faceta, który przez całą drogę dosłownie pożerał mnie wzrokiem. Nie śmiał się, nie był rozbawiony, tym to bym była zachwycona. Nic, tylko się gapił, co mnie absolutnie zbrzydziło.

- Ale najlepszy smaczek był taki – dodał Norman, wciskając sobie w oko szyldkretowy monokl. – Nie masz nic przeciwko temu, że bym to opowiedział, Buziak, prawda? (W domu i wśród przyjaciół mówili do siebie per Buziak i Mordko). Najlepszy smaczek był taki, że kiedy już była kompletnie zbrzydzone, odwróciła się do kobiety, która siedziała obok niej, i zapytała: „Nie widzieliście nigdy małpy?”.

- No tak, tak! – pani Normanowa Knight zawtórowała mu w śmiechu. – To było kapitalne, prawda?

A co zabawniejsze, teraz, kiedy już zdjęła płaszcz, naprawdę wyglądała jak bardzo inteligentna małpa, która z oskrobanych skórek od bananów zrobiła sobie tę żółtą jedwabną suknię. I jeszcze jej bursztynowe kolczyki – wyglądały zupełnie jak zwisające orzeszki!

- Smutek ogarnia cię i strach! – powiedział Mordka, zatrzymując się tuż przed wózkiem Małej B. – Gdy wózek zawita pod twój dach... – i machnął ręką, kończąc cytat w tym miejscu.

Rozległ się dzwonek. Był to szczupły, blade Eddie Warren (jak zwykle) w stanie wzmożonego cierpienia.

- To jest t e n dom, prawda? – dopytywał się.

- Och, tak mi się zdaje, w każdym razie mam taką nadzieję! – odpowiedziała radośnie Bertha.

- Miałem naprawdę k o s z m a r n ą przygodę z taksówkarzem; to był po prostu jakiś przerażający facet. Nie chciał się z a t r z y m a ć. Im b a r d z i e j pukałem i wołałem, tym bardziej p r z y s p i e s z a ł. A do tego jeszcze w blasku księżyca ta p r z e d z i w n a sylwetka, z t ą r o z p ł a s z c z o n ą głową, s k u l o n a nad m a - l e n k ą kierownicą...

Zadrżał, zdejmując z siebie ogromy biały jedwabny szal. Bertha zwróciła uwagę, że ma też białe skarpetki – jakie to urocze.

- Coś okropnego! – zawołała.

- Nie da się ukryć – przyznał Eddie, przechodząc za nią do salonu. – Już się widziałem, jak w p o n a d c z a s o w e j taksówce sunę przez n i e s k o n c z o n o ś ć.

Znał Normanów Knightów. Właściwie to miał nawet pisać sztukę dla N.K., kiedy pojawił się pomysł założenia teatru.

- No, Warren, jak tam sztuka? – rzekł Norman Knight, zrzucając monokl, dzięki czemu jego oko na moment wypłynęło na powierzchnię, zanim znów zostało przyduszone.

A pani Normanowa Knight rzuciła:

- Och, panie Warren, jak szczęśliwie dobrane skarpetki!

- Tak się cieszę, że się pani podobają – odpowiedział, patrząc na swoje stopy. – Odkąd wszedł księżyc, wydają się z n a c z n i e bielsze. – I zwrócił swą szczupłą, zatroskaną twarz ku Bercie: – Bowiem j e s t księżyc, wie pani.

Aż chciała wykrzyknąć: „Och, oczywiście, że jest – i to często, często!”.

Eddie naprawdę był szalenie pociągającą osobą. Ale tak samo Buziak, która przycupnęła przed kominkiem w swoich skórkach bananowych, i tak samo Mordka, który palił teraz papierosa, a strząsając popiół, pytał:

- Czemuż się spóźnia oblubieniec?

- Oto nadchodzi, teraz.

Trzask – otwarły się i zamknęły drzwi wejściowe. Harry krzyknął:

- Cześć wszystkim! Schodzę za pięć minut.

I usłyszeli, jak wbiega na górę. Bertha nie mogła powstrzymać uśmiechu; wiedziała, że on uwielbia wszystko robić w pędzie. No bo przecież jakie znaczenie ma pięć minut w tę czy w tę? Ale on będzie sam przed sobą udawał, że ma kolosalne znaczenie. No i za punkt honoru weźmie sobie, by wkroczyć do salonu z ekstrawaganckim spokojem i opanowaniem.

Harry ma taki apetyt na życie! Och, jakże ona to w nim ceni. I tę jego namiętność do walki – do tego, by we wszystkim, co tylko mu się przydarza, widzieć kolejną próbę dla swych sił i odwagi – to także rozumiała. Nawet jeżeli od czasu do czasu w oczach innych ludzi, którzy nie znali go tak dobrze, wydawał się z tego powodu nieco śmieszny... Bo bywały takie momenty, kiedy ruszał do walki tam, gdzie żadnej walki nie było... Rozmawiała teraz i śmiała się, i aż do chwili kiedy wszedł Harry (dokładnie tak, jak to sobie wyobraziła), autentycznie nie pamiętała, że nie zjawiała się jeszcze Pearl Fulton.

- Zastanawiam się, czy panna Fulton zapomniała?

- Pewnie tak – odrzekł Harry. – Czy ona ma telefon?

- O! Podjeżdża taksówka – i Bertha uśmiechnęła się z tą subtelną minką posiadaczki, którą przybierała zawsze wobec swoich nowych i tajemniczych kobiecych znalezisk. – Ona żyje w taksówkach.

- Utyje przy takim trybie życia – orzekł Harry chłodno, dzwoniąc na obiad. – To strasznie niebezpieczne dla blondynek.

- Harry, przestań! – ostrzegła go Bertha ze śmiechem.

Minęła kolejna chwilka, a oni czekali, śmiejąc się i rozmawiając, odrobinę za bardzo rozluźnieni, odrobinę zbyt odprężeni. Aż wkroczyła uśmiechnięta panna Fulton, cała w srebrze, ze srebrną wstążką opasującą jasne blond włosy, z głową lekko przechyloną na bok.

- Spóźniłam się?

- Ani troszkę – odpowiedziała Bertha. – Proszę do środka.

Ujęła ją pod ramię i przeszły do jadalnego.

Co takiego miał w sobie dotyk tego chłodnego ramienia, że potrafił roz – rozdmuchać – rozpalic – palić ten ogień rozkoszy, z którym Bertha nie umiała sobie poradzić?

Panna Fulton nie patrzyła na nią; w ogóle rzadko patrzyła na kogokolwiek wprost. Ciężkie powieki przykrywały jej oczy, a dziwny półuśmiech pojawiał się na wargach i znikał, jak gdyby posługiwała się raczej słuchem niż wzrokiem. Ale Bertha miała pewność, nagle, zupełnie jakby wymieniły najdłuższe, najintymniejsze spojrzenie – jakby powiedziały do siebie nawzajem: „Więc ty także?” – wiedziała, że Pearl Fulton, która mieszkała teraz piękną czerwoną zupę w szarym talerzu, że i ona czuje dokładnie to samo, co Bertha.

A pozostali? Buziak i Mordka, Eddie i Harry, podnoszące się i opadające łyżki – ocieranie ust serwetką, kruszenie chleba, przesuwanie widelców i szklanek, i rozmowy.

- Spotkałem ją na wystawie warsztatów Alpha, co za dziwaczna osóbka. Nie tylko ścięła włosy, ale wygląda, jakby ciachnęła sobie przy okazji także nogi i ręce, i szyję, i ten swój biedny nosek.

- Czy ona nie jest mocno *liée* z Michaeliem Oatem?

- Z tym, co napisał *Miłość w sztucznych szczękach*?

- Chciałby napisać dla mnie sztukę. Jeden akt. Jeden człowiek. Chce się zabić. Podaje wszystkie powody za i przeciw. A kiedy wreszcie podejmuje decyzję, że tak lub że nie – kurtyna. W sumie niezły pomysł.

- Jaki będzie tytuł? *Kłopoty żołądkowe*?

- Z d a j e m i s i ę, że dokładnie taki s a m koncept widziałem w jednym francuskim czasopi-pisemku, k o m p l e t n i e nieznanym w Anglii.

Nie, oni tego nie czuli. Oni są kochani – kochani – była szczęśliwa, że ma ich tu wszystkich, u siebie przy stole, że karmi ich pysznym jedzeniem i poi winem. Właściwie to chciała im powiedzieć, jacy są cudowni i jak dekoracyjną tworzą grupę, jak wydaje się, że jedno pobudza drugie i że są jak wyjęci ze sztuki Czechowa!

Harry jadł z apetytem. To leżało częściowo w jego – hm, niezupełnie w jego naturze, a na pewno nie była to poza – w jego – tym czy tamtym – żeby mówić o jedzeniu i chwalić się swoją „bezwstydną namiętnością do białego homarowego mięsa” i „zieleni lodów pistacjowych – zielonych i zimnych jak powieki egipskich tancerek”.

W pewnym momencie spojrzał na nią i powiedział:

- Bertha, to jest absolutnie mistrzowski suflet!

Gotowa była wówczas niemal rozszlochać się w poczuciu dziecięcego zadowolenia.

Ach, skąd u niej dzisiaj ta czułość dla całego świata? Wszystko było dobre – wszystko na miejscu. Wszystko, co tylko się działo, na nowo przepełniało czarę rozkoszy, którą kryła w sobie.

A jednak, gdzieś w zakamarkach umysłu wciąż miała widok kwitnącej gruszy. Teraz będzie srebrna, w blasku księżycy, o którym mówił biedny, kochany Eddie, srebrna jak panna

Fulton, która siedziała, obracając mandarynkę w palcach tak smukłych, tak bladych, że wydawało się, jakby przenikało przez nie światło.

Tylko jednego nie mogła pojąć – to jedno było cudowne – jak to możliwe, że odgaduje nastrój panny Fulton tak precyzyjnie i natychmiastowo? Bo przecież nawet przez chwilę nie wątpiła, że ma rację, ale z czego wynikała ta jej pewność? Zupełnie z niczego.

„Jestem przekonana, że to się bardzo, bardzo rzadko zdarza między kobietami. A nigdy między mężczyznami – pomyślała. – Ale kiedy będę w salonie robiła kawę, może ona «da znak»”.

Sama nie wiedziała, o co może chodzić; nie umiała sobie nawet wyobrazić, co by się miało potem wydarzyć.

Kiedy tak rozmyślała, widziała samą siebie, jak rozmawia i śmieje się. Musiała rozmawiać, bo bardzo chciała się śmiać.

„Roześmieję się, albo umrę”.

A kiedy zauważyła, że Buziak ma zabawny gest upychania sobie czegoś za stanik – jakby ukrywała tam mały, sekretny zapasik orzechów – Bertha musiała wbić sobie paznokcie w rękę, żeby nie prychnąć zbyt głośno.

Wreszcie skończyli. I:

- Chodźcie wszyscy zobaczyć moją nową maszynkę do kawy – rzekła Bertha.

- Bo my co dwa tygodnie sprawiamy sobie nową maszynkę do kawy – dorzucił Harry.

Tym razem Buziak wzięła go pod ramię; panna Fulton pochyliła głowę i ruszyła za nimi.

Z ognia w salonie zostało tylko czerwone, połyskujące „gniazdo małych feniksów” – jak się wyraziła Buziak.

- Nie zapalajcie przez chwilę światła. To jest prześliczne – i znowu przykucnęła przy ogniu.

Zawsze było jej zimno... „chyba że ma na sobie ten swój czerwony kaftanik z flaneli, rzecz jasna” – pomyślała Bertha.

W tym momencie panna Fulton „dała znak”.

- Czy macie ogród? – zapytał chłodny, senny głos.

Było to z jej strony tak wyrafinowane, że Bertha musiała być posłuszna. Przeszła przez pokój, odsunęła zasłony i otworzyła drzwi na taras.

- Oto i on – odrzekła niemal bezgłośnie.

Teraz obie kobiety stały ramię w ramię, przyglądając się smukłemu kwitnącemu drzewu. Chociaż trwało zupełnie nieporuszone, miało się wrażenie, że wyciąga się w górę niczym płomień świecy, że na coś wskazuje, że drży w przejrzystym powietrzu, rośnie w oczach – że prawie już dotyka krawędzi srebrnej tarczy księżyca.

Jak długo tak stały? Niczym unieruchomione w kręgu niezemskiego blasku, rozumiejąc się doskonale, dwa stworzenia z innego świata, dumając, co takiego powinny zrobić z owym skarbem, który płonie im w piersi i drobnymi, srebrnymi płatkami opada z ich włosów i dłoni?

Zawsze? – przez chwilę? I czy panna Fulton szepnęła:

- Tak. Właśnie to.

Czy może Bercie się to przyśniło?

Potem błysnęło zapalone światło, Buziak robiła kawę, a Harry mówił:

- Droga pani Knight, proszę mnie nie pytać o dziecko. Nigdy go nie widuję. Nie mam najmniejszego zamiaru interesować się córką, dopóki nie będzie miała kochankę – Mordka na chwilę wypuścił oko ze szklarni, ale zaraz na powrót zamknął je pod szkłem, a Eddie Warren wypił kawę i odstawił filiżankę z miną takiej udręki, jakby na dnie zobaczył pająka.

- Ja chcę po prostu ofiarować młodym ludziom teatr. Jestem pewien, że w Londynie aż się roi od pierwszorzędnych a nienapisanych sztuk. Ja chcę im po prostu powiedzieć: „Proszę bardzo, tu jest scena. Dajcie czadu”.

- Wiesz, kochanie, będę projektować aranżację pokoju dla Nathanów. Och, kusi mnie strasznie, żeby zrobić projekt inspirowany smażoną rybą, czyli oparcia krzesel w kształcie patelni, a na zasłonach wyhaftować im śliczne fryteczki.

- Problem z naszymi młodymi pisarzami jest taki, że ciągle są zbyt romantyczni. Nie można wypłynąć na morze, a nie dostać choroby morskiej i nie potrzebować miednicy. Dlaczego oni nie mają odwagi tych miednic?

- K o s z m a r n y wiersz o d z i e w c z y n i e, która zostaje z g w a ł c o n a w jakimś las-ku przez żebraka b e z n o s a...

Panna Fulton zapadła się w najniższy, najgłębszy fotel, a Harry częstował wszystkich papierosami.

Z tego, jak stał przed nią, potrząsając srebrną papierośnicą i mówiąc gwałtownie:

- Egipskie? Tureckie? Wirginia? Wymieszały się – Bertha zdała sobie sprawę, że panna Fulton nie tylko go nudzi; on jej po prostu naprawdę nie lubi. A ze sposobu, w jaki panna Fulton odpowiedziała:

- Dziękuję. Nie będę palić – że i ona to odczuła, i że jest dotknięta.

„Och, Harry, nie nastawiaj się do niej źle. Mylisz się co do niej kompletnie. Ona jest cudowna, cudowna. A poza tym, jak możesz mieć tak odmienne uczucia wobec kogoś, kto dla mnie tyle znaczy? Wieczorem, w łóżku, postaram się opowiedzieć ci, co się wydarzyło. Co takiego nas połączyło”.

Przy tych ostatnich słowach w umyśle Berthy błysnęło coś dziwnego i niemalże strasznego. To coś, ślepe, uśmiechnięte, szepnęło do niej: „Niedługo ci wszyscy ludzie sobie pójdą. W

domu będzie cisza – cisza. Światła zgasną. A ty i on będziecie sami w ciemnym pokoju – w ciepłym łóżku...”.

Zerwała się z fotela i podbiegła do fortepianu.

- Jaka szkoda, że nikt nie gra! – zawołała. – Jaka szkoda, że nikt nie gra.

Bertha Young po raz pierwszy w życiu pożałowała swojego męża.

Och, kochała go – była w nim zakochana, oczywiście, na wszelkie sposoby, ale nie tak. I zarazem oczywiście rozumiała, że on jest inny. Rozmawiali o tym często. Z początku strasznie ją martwiło, że jest zimna, ale po jakimś czasie przestało to mieć znaczenie. Byli wobec siebie tak szczerzy – byli tak dobrymi kumplami. To najlepsza strona nowoczesności.

A teraz żarliwie! Żarliwie! To słowo aż bolało w jej żarliwym ciele! Czy do tego prowadziło to uczucie rozkoszy? Lecz w takim razie, w takim razie...

- Moja kochana – odezwała się pani Knight – wie pani, na czym polega nasza bieda. Jesteśmy ofiarami czasu i kolei. Mieszkamy w Hampstead. Było uroczo.

- Odprowadzę was do holu – odpowiedziała Bertha. – Tak się ucieszyłam, że przyjechaliście. Ale nie możecie spóźnić się na ostatni pociąg. To jest jednak okropne, prawda?

- Szybka whisky przed drogą, Knight? – zawołał Harry.

- Dzięki, stary, nie.

Bertha uścisnęła mu za to rękę, kiedy się żegnali.

- Dobranoc, do widzenia! – zawołała ze szczytu schodów, czując, że jej obecna jaźń żegna się z nimi na zawsze.

Kiedy wróciła do salonu, pozostali też już się zbierali.

- ... czyli może pan kawałek podjechać ze mną taksówką.

- Byłbym tak wdzięczny, gdybym po tym koszmarnym przeżyciu nie musiał jeszcze raz narażać się na samotną podróż.

- Postój jest dosłownie na końcu uliczki. Trzeba przejść parę jardów.

- Znakomicie. Idę włożyć płaszcz.

Panna Fulton ruszyła w stronę holu, Bertha ruszyła za nią, ale Harry nagle odepchnął ją i wyprzedził.

- Pomogę pani.

Bertha wiedziała, że chce odpokutować za swoją nieuprzejmość – przepuściła go. Pod niektórymi względami istny z niego chłopiec – taki impulsywny – taki – bezpośredni.

Zostali przy kominku z Eddiem.

- Ciekaw jestem, czy widziała pani może nowy wiersz Bilksa pod tytułem *Table d'Hôte* – odezwał się Eddie cicho. – Jest tak cudowny. W ostatniej antologii. Ma ją pani może? Tak bym chciał go pani pokazać. Zaczyna się niesamowicie piękną linijką: „Czemu to zawsze musi być pomidorowa?”.

- Tak – odpowiedziała Bertha i bezgłośnie przeszła do stolika naprzeciwko drzwi do salonu, a Eddie bezszelestnie prześliznął się za nią. Wzięła do ręki niewielki tomik i podała mu go; nie wydali najmniejszego szmeru.

Kiedy Eddie szukał wiersza, Bertha odwróciła się w stronę holu. I zobaczyła... Harry'ego z płaszczem panny Fulton w rękach i pannę Fulton z pochyloną głową, stojącą tyłem do niego. Harry odrzucił płaszcz, położył jej ręce na ramionach i gwałtownie odwrócił ją ku sobie. Jego usta wypowiedziały: „Uwielbiam cię”, a pana Fulton położyła swoje księżycowo promienne palce na jego policzkach, uśmiechając się sennie. Nozdrza Harry'ego zadrżały; wargi rozciągnęły się w obrzydliwym uśmiechu, szepnął: „Jutro”, a powieki panny Fulton odpowiedziały: „Tak”.

- O, mam – odezwał się Eddie. – „Czemu to zawsze musi być pomidorowa?” To tak głęboko prawdziwe, nie uważa pani? Zupa pomidorowa wydaje się tak straszliwie odwieczna.

- Jeśli pani woli – bardzo głośno odezwał się w holu Harry – mogę zadzwonić po taksówkę, żeby podjechała pod drzwi.

- Och, nie. Nie trzeba – odpowiedziała panna Fulton, podeszła do Berthy i podała jej do potrzymania swoje smukłe palce.

- Do widzenia. Bardzo dziękuję.

- Do widzenia – odrzekła Bertha.

Panna Fulton przytrzymała jej rękę chwileczkę dłużej.

- Ta pani piękna grusza! – szepnęła.

I już jej nie było, a za nią wyszedł Eddie, jak czarny kot podążający za szarą kotką.

- Zamykam interes – powiedział Harry, ekstrawagancko chłodny i opanowany.

„Ta pani piękna grusza, grusza, grusza!”

Bertha dosłownie podbiegła do drzwi na balkon.

- O, co się teraz stanie? – zawołała.

Ale grusza była piękna jak zawsze, tak pełna kwiecica, i tak nieporuszona.

Przełożyła Magda Heydel

Serdecznie dziękujemy Magdzie Heydel i wydawnictwu Officina za zgodę na opublikowanie tekstu.